

WESOŁY KURJER

DLA WSZYSTKICH.

Ilustrowany.

Wychodzi dwa razy na miesiąc: 8. i 23.

Wszyscy prenumeratorzy „Gońca i Iskry” oraz opłata obszernego pojedynczego, wychodzącego we Lwowie, otrzymują Wesołego Kurjera zupełnie bezpłatnie. Również otrzymują bezpłatnie premie i dodatki. Prenumerata „Gońca i Iskry” — półrocz. 2 złr. półrocz. 4 zł; rocznie 8 złr. wraz z Wesołym Kurjerem — 10 złr. — Adres Redakcji i Administracji: we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23. Pojedynczy Nr. „Wesołego Kurjera” 10 ct.



wiedziono mnie haniebnie
Więc się z losem godzę
Płaczę pięknem za nadobne
I wciąż mężczyzn zwodzę...
A jak młodość ma przeminie
Krasę czas potrząska
Wówczas się kominka zwinie —
Daj świecie: co łaska!...
Daj mi męża choć takiego
Co cały pogięty,
Co go na wierzch wyrzuciły
Brudne życia męty...
Jak mi świecie pożałujesz
Wśród ludzi ogniska,
To mnie wówczas zamianujesz
Panną... z przytuliska...

Z GALERJI TYPÓW KARNAWAŁOWYCH.

Panna z posagiem.

Na horyzont wiekomejski,
Jak meteor, lub kometa,
Wypłynęła w gwarze tańca
Cud-dziewica, cud-kobieta!

Ukazała się na balu...
Dla młodzieży istna chryja...
Wdziękem wszystkich usidliła
I spojrzeniem swem podbiła.

Tata jest jej towarzyszem,
Pan ten wciąż zawzięcie milczy...
I to tylko poznać można,
Że apetyt miewa wilczy.

Leć wszy kowiedź, sylf z redakcji,
Już uderza w czept słumiony;
»Przyjechała z Wierciszewa,
Ma w posagu swym miliony.«

Zadrzał cały tłum młodzieży,
Oszołomia ich to słowo...
Panna jest więc karnawału
I ozdoba i królową.

Ona wszędzie więc rej wodzi,
Ją poeta wielbi wierszem,
Toar jej sławione
Uwielbieniem wszak najszczerzszem.

Coraz nowe wieści krążą
O jej dobrach, antenatach,
Gdzie się ruszą... leć kwiaty,
I już prawie śpi na kwiatkach.

Bal publiczny bez niej — zero,
I młodzieży już niesporo...
Konkurenci zazdrośniesz
Aż się prawie za łby biorą.

Jeden chciał się już zastrzelić,
Drugi żółtkł, jak imbir właśnie,
Trzeci — panicz podupadły,
Klnie się, że w łeb sobie trzaśnie.

Rój dokoła wielbicieli
Na nią ma apetyt wilczy,
Zaś pan ojciec, jako mileżał,
Tak spogląda wciąż i milczy.

Nagle wieść się rozpowszechnia,
Silnie, jako piorun zgoła...
Panna jest z niskiego stanu
I jest bardzo, bardzo goła!

Ojciec jej, pan Pekelflajszer,
Podupadły rzeźnik pono,
Ze szęatkami kapitału
Sklepiarzy zwiększył grono.

Mieszkał kędys na prowincji,
A do Lwowa zjechał oto...
Ha, niegodny, kawalerję
W jakież intryg wsadził błoto!

Na to imci Pekelflajszer:
Czyż wam rzekłem choćby słówko, —
Że zjechałem tu do miasta
Dla zabawy i z gotówką?

Samiście to wymyśleli,
Dziś niech się to na was skrupi:
Ja mileżałem, córka również,
A wyście krzyczeli... głupi!

U lekarza na wsi.

— Mój gospodarzu, a czemuż się to tak późno
przyszli. Teraz was trędziej będzie walczyć.
— Jużci, ja tak sobie kaleszuję, że z pomocą
zawdy łatwiej. Ale sobie pomyślałem: niechta pan
doktor trocha o bie głowy nałamać — i poczeka-
łem kszynkę...

Kłopoty redaktora.

Obrazek z przeszłości.

»Co się zatarło na przeszłości desce,
Niechaj odżyje w pieśni, albo humoresce«.

— A napaliszże choć raz w tym dja-
belskim piecu... do stu piorunów! — woła
dość poważny mężczyzna, w futrze z psów,
naśladujących niedźwiedzie. — Czego tu ster-
czysz, gapiu?

— Czekam na korektę.

— Czemże ci będę robił korektę, ośle
jakiś, kiedy mi palce zesztyniały? Napal
w piecu, to robię.

— Kiedy piec dymi, proszę pana.

Bodajście się wy zadymili, niedołęgi! —
klnie w dalszym ciągu mężczyzna, trzępiąc
się zziębłemi rękoma po bokach, na furmań-
ski sposób. — Odgrzeję mi przynajmniej
atrament, bo zamarł!

Chłopiec ze zmarłym atramentem wy-
jeżdża do cieplejszych okolic, mężczyzna
w futrze, ogrzawszy ręce, z kolei naciera
sobie uszy mocno klerykalnej barwy, a tym-
czasem we drzwiach świątyni dobrego hu-
moru zjawia się dysponent.

— Proszę pana redaktora, — mówi
przybyły — wstępnemu rysunkowi nos się
zatarł.

— A więc cóż ja na to poradzę? prze-
cież swego nosa nie oddam. Idźcie do ry-
sownika.

— Rysownik także nie odda, bo sam
nie ma; wreszcie już za późno.

— Uważam, żeś pan, co dzień dowiec-
niejszy, panie ten...

— My tu tak wszyscy potrosze, panie
redaktorze. Zamiast rysunku, trzeba dać druk.

— A skądże panu druków wezmę, kiedy
współpracownicy nie nadesłali rękopisów?

— Miał pan dać tego... kościotrupa,
czy jak tam?

— Aha! »Kościotrup i dziewczica«, fan-
tazja! dam, ale niech kto pisze, a ja będę
dyktował; czy jest kto taki?

— Znajdzie się. Mieszka tu na górze
jeden od adwokata, to go panu redaktorowi
sprowadzę.

— Dobrze! No i cóż? — pyta redaktor
wchodzącego w tej chwili chłopca — ręko-
pis masz?

— Gdzie tam, panie redaktorze. Pan
Ochwatowicz strasznie chory i tylko kartkę
prysłał.

— Dawaj ją tu!... — czyta:

»Świat mi zbrzydł.. głowa cięży... umie-
ram bez nadziei i żalu... Przyszlizcie mi kilka
guldenów. — Ochwatowicz«.

Post scriptum. »Po drodze niechaj chło-
pak kupi parę cytryn.«

— A niechże cię zakwaszą! — woła
redaktor, zabierając się znowu do ogrzewa-
nia rąk o boki. — A niechże cię... Czyś wi-
dział pana Ochwatowicza?

— Widziałem, proszę pana; ma chustkę
na głowie.

— Cóż mu jest?

— Nie wiem, proszę pana redaktora
Sługa mówiła, że go ludzie wczoraj o pier-
wszej w nocy z sali do pokoju przynieśli.
Podobno był na imieninach.

— Ach! — wzdycha redaktor, padając
na foitel i zasłaniając twarz rękoma.